

Prziki



Idą ochotnicy, dusza do nich rwie się.
Śpiewają o wojnie, o zielonym lesie...

Ach, niezapomniane pożegnania chwile.
Serce polki dzisiaj nie dla was, cywile!

HEJ, OSTRZYĆ MIECZE, ŚWIECIĆ BRON!

Hej, ostrzyć szable, świecić broni —
Na koń, na koń, na koń!
O bracia! Hordy krwawych widm
W opitych, dzikich wrzasków rytm
Za Wilnem już, za Grodnem, Lida
Tu do nas idą... idą... idą...
Kirgizów czerń, chunchuzów plemię
Ogniem i nożem ryje ziemię,
Spada bestjałskich zwałem ciał
By zetrzeć nas — na mial!

Hej, ostrzyć szable, świecić broni —
Na koń, na koń, na koń!
Ha, czyż bezsilnie patrzeć nam
Aż bestja runie tu — od bram
Kobiety odrze z czi, dziewczęta,
Aż jęknie pod nią ziemia święta,
Hańby, od Niemna aż za Wartę
Rzucając piętno niezatarte,
Co jak żałobny będzie śpiew
Co pali twarz — jak krew?

Hej, ostrzyć szable, świecić broni —
Na koń, na koń, na koń!
W kim dusza polska — jak ptak stąd,
Jak wicher, pogna w bój na front,
Wydzierać ziemię wrażej mocy,
Zmęczonym druhom ku pomocy
Swe mocne, świeże podać ramię,
Podeprzeć tego, co się łamie
Od tylu dni bez tchu, bez snu
Od tylu dni — we krwi!

Hej, ostrzyć szable, świecić broni —
Na koń, na koń, na koń!
Nie czekać, aż potworny gość
Kańczug nam wryje w kark po kość!
Ostatnia bije już godzina:
Śmierć, albo życie się zaczyna —
W bagnietów ostrzach, w sztorcach kos
Prowadź nas Bóg i dobry los
Na front! Wolności bronić złotej!
My — żołnierz z własnej swej ochoty

Gdy czart nam żądło w serce wpija —
Idziemy w bój. — Jezus, Maryja!

W. ST. PŁOMIENČYK.

N O W Y L A D.

BAJKA.

Stary porządek padł.
Bydłęta,
poddanstwa zrzuciwszy pęta,
nowy ogłosiły ład.
Ład nowy, co się wyraża
dyktaturą inwentarza.
Pożegnawszy się z obórką,
młody byczek, z kółkiem w nosie,
galopem obiegł podwórko,
a gdy łbem palnął w latarnię,
ryknął: — Stało się!

Świnie gorliwie reformują grządki,
chcąc nowoczesne utrwalić porządki.
Kto jeno może, gnojem kala studnię,
by nie nęciła jej czystość obłudnie.
Wreszcie, wśród zwalonych drzew,
legła obora i stajnia, i chlew.
Gdy się już wszyscy dobrze spracowali,
pyta Skop Ośla: — Co dalej?

Oł, leży marnie.
Precz wszystkie ludzkie wymysły,
gdy więzy prysły.
— Precz! — potwierdziła gromada.
Nie myśląc wiele,
z osłem na czele
do ogrodu hurmem wpada
i dalejże do roboty:
łamię drzewa, słupy, płoty;
tryumfu wydając kwiki,
depce, klomby i trawniki...

— Jakto: co dalej?—Ano... hm... psia mać,
co tera żreć?... gdzie spać?...
— Głupstwo! — rzekł Ośiel.—Tylko się zastanów
co to za szczęście: niema śladu panów
i świat możemy odbudować ślicznie,
maksymalistycznie, odnowa.
— Ale jak?... W tem już nasza głowa:
ośla, barania, wołowa...

BENEDYKT HERTZ.



Kaniukh

„Hej, który tam z was boi się bolszewików! Popatrzta. Nie takie one straszne, ino trza śmiało za kark chwytać.”

ODEZWA BOLSZEWICKA.

Towarzyszy, polskie sądaty!

My, proletariat całej niedzielnej Rosji, obracamy się do was z wezwaniem, coby wy odtargnęli od siebie biało-amarantowe chorugwy Polszy burżuazyjnej, a podnieśli wysoko czerwony flak naszej sowdepskiej obszczyzny.

Nie wiercie kłamstwom najemnych pismaków, które oczerniają Rosję ludu pracującego.

Nam wiercie!

U nas raj!

Mamy rząd robotniczo-włościański. On składa się z samych prawdziwych robotników i włościan — z drewnianej biedoty. Siedzą w nim takie korzenne muzyki, jak Trock-Bronstein, Radek-Sobelsohn, Kamieniew-Rosenfeld, Zinowiew-Apfelbaum, Stieklów-Nachamkes, oraz robotniki: Litwinow-Finkelstein, Unslicht i Joffe, a na czele stoi proletariusz wszystkich krajów Lenin. Odkąd oni rządzą świętą Rosją, swoboda u nas taka, że towarzysze-kucharze mogą być naczelnikami szpitali, towarzysze-dentyści mają prawo budować mosty, towarzysze-krawcy bywają dyrektorami cukrowni, towarzyszy-pomywaczki zakładają gimnazja. I możesz, towarzyszu, nie umieć ani czytać, ani pisać, a jeśli zechcesz, tak ciebie zrobią choćby profesorem uniwersytetu.

W każdej gminie jest „kombied“ — czyli urząd, złożony z dawnych pastuchów, żebraków, głupich Janków, nieszczęśliwych alkoholików i pobytowych ofiar caratu. Tak one mogą całymi dniami po rowach do góry brzuchami leżeć, a gospodarze, co własne grunty mają i po burżujski od rana do nocy harują — muszą im wszystko znosić, karmić, odziewać, nawet własnej baby w potrzebie użyć. Taka to wolność dla biednego narodu. Bo co twoje, to moje, a co moje — też twoje, jeżeli ja nic nie mam. A kto ukraść potrafi — kupować nic nie potrzebuje. Tak oszczędność przez to wielka i ludzie bogacą się. Miejsca także samo coraz więcej, bo i wolność umierania teraz u nas nieograniczona. Umrze kto — tak wedle porządku wszystko idzie, bo i trupy nawet w ogonkach na pochrony czekają. A własność prywatna burżujska wymazana — tak, że nawet trumny nikt swojej nie ma, tylko się nią do dołu przejedzie, a potem musi oddać następnemu.

Widzicie więc, towarzyszy, polskie sądaty, że w Rosji sowdepskiej nie żyć, a umierać. Dlatego jeszcze raz was wzywamy: przechodźcie do naszej krasnej armji, bić się za naszą wspólną, niedzielną Rosję bolszewicką.

Ura! Ura! Ura!

WYPRAWA TROCKIEGO DO WARSZAWY.

(PIEŚŃ DZIADOWSKA).

O rety, ludzie co się tera dzieje?
Śmia nam uragać sowdepskie złodzieje.
Co za cholera zbójów tutaj niesie?
Nie dajta-że się!

Gdy Rosję obrał Trocki do koszuli,
zbrakło na pasek chleba i cebuli —
więc do Warszawy ma ochotę silną:
bardzo mu pilno.

Zewsząd nań krzyczą: do Polski nas prowadź!
tam je urodzaj, będzie czem paskować!
Nie bardzo polak nawet się rozzłości,
bo lubi gości.

W Polsce narodu je natura taka:
prędzej usłucha gościa, niż rodaka.
Obcym wyniesie i chleba, i soli —
swoim warcholi.

Wszystko tam jurne, póki je Piłsudski,
wrozumiały, lojalny i ludzki...
Lecz gdyby obcy za pysk wziął ich krótko,
siadą cichutko.

Gdy informacji takich ponazbierał
od wywiadowców pan Bronstein generał,
jedzie expresem — że je rycerz krewki —
wprost na Nalewki.

Lecz zanim jeszcze dojechał do Grodna,
mówią mu: Polska nie kłóci się, zgodna!
Ajwaj! w niej nagle jedność nastąpiła,
a to je siła.

Więc zaklął Trocki nieprzystojnie z ruska
i brodę rudą na swej gębie muska —
bowiem ostała wyprawa nagłaca
jak on — bez końca.

Z E W S P O M N I E Ń L E G J O N O W Y C H.

Pluton X obsadził pozycję nad Nidą. Na we-
decie postawiono, między innymi, obyw. „Leszka”.
(Była to kobieta, malarka) Noc ciemna. Cisza. Wtem
komendanta placówki, kaprała, budzi głośne wołanie
o pomoc.

Kapral zbliża się ku wołającemu żołnierzowi.
— Zahaltowałam kogoś — melduje obyw. Le-
szek — a ten stoi, nie odzywa się.

Kapral spostrzega istotnie jakąś postać w ciem-
ności. Zbliża się ostrożnie.

— Stój! Kto idzie?

Nie otrzymując żadnej odpowiedzi, posuwa się
jeszcze kilka kroków i trafia na drzewo.

Od owej to nocy powtarzano sobie:

— Jak obywatel Leszek zahaltował drzewo, to
do dziś stoi.

— — — — —
W bataljonie Wyrwy-Furgalskiego kompanja
Narbutta pod Krzywopłotami leży w tyraljerce. Naraz
jeden z żołnierzy podbiega do Narbutta, trzymając
dłoń pod nosem.

— Obywatelu kompanijnego, melduję posłusznie,
że kula obtarła mi nos...

Na to Narbutt z zimną krwią:

— Nie trzeba się smarkać w linji.

Z R O Z M Ó W T E L E F O N E R A.

— Telefoner, czy to prawda? Żonaty jesteś po-
dobno sześć lat, a masz już pięcioro dzieci.

— Mam.

— To ty musisz bardzo kochać żonę?

— Żonę?... Phi, takie kubyte, jak wszystkie.

— Więc chyba lubisz dzieci?

— Il... dżeczy... tylko kłopot.

— Więc jeżeli żony nie kochasz, dzieci nie lu-
bisz... Skąd się one biorą?

— Ja bardzo lubię te robote.

— Telefoner! co to ma znaczyć? Jaką nosisz
szarżę?

— Jestem kapralem, panie majorze.

— Kapralem, a nosisz na patkach trzy galony!..
Czy nie wiesz, że ci się należą tylko dwa?

— Ja wim, panie majorze, ale na wipadek
jakby mi jeden galon miał odpaść, to sobie na zapas
przyszyłem inny, bo w kieszeni mógłby się pognieść.

NIEZDATNY.

— Podalesz się już na ochotnika?

— Ach, chciałbym bardzo, ale nie mogę. Prze-
chodziłem w dzieciństwie bardzo ciężką chorobę...

— Doprawdy? Jaką?

— Koklusz.

DEWIZA.

Nie czas na pieśni i na puste słowa
Nie czas swe goić i obmywać blizny —
Iść i zwyciężyć! — oto prosta mowa —
Niech braknie laurów dla synów Ojczyzny!

XAWERY GLINKA.



- Cóżes taki kontent?
- Ano wstąpiłem na ochotnika. Żle mi?
- Warjat. Ja tobym wolał, żeby bolszewiki przyszli.
- E?
- Ano, pewno. Zara tu raj będzie dla wszystkich klawiszników.

U S P R A W I E D L I W I Ł S I Ę .

Na ulicy Petersburga gwardzista spostrzega je-
gomościa, obutego w eleganckie lakierki.

— Stoj! — woła.

Zaczepony przystanął.

— Czego?

— Przyznaj się—bierze go na spytki przedsta-
wiciel władzy sowieckiej—ty burżuj?...

— Ależ co znowu, towarzyszu! Taki sam jestem
proletariusz, jak i ty.

— Nie łzyj. Nie oszukasz. Skądbyś miał takie
obuwie?

— Ukradłem, towarzyszu.

— Aal... ukradłeś, to co innego. Możesz iść
dalej.

CO MOWI ŁAZIK?

Żebyśta widzieli, moje państwo, jaka to niemiła rzecz ten huraganowy ogień! — To gorzej w głowie huczy, niż po czterech kwaterek okowity. Ale co! Jak się człowiek napije, to tyle tylko, że mu czort we łbie koziołki fika. A tu wszystko ci fika i na wewnątrz i dokolusieńka. Drzewo nie drzewo, góra nie góra, chałupa, żeby nawet murywana, to ci weźmie skakać, aż się pokruszy na piaseczek i niema jej. Nie się nie ostanie. Tu dopiero co dąb ogromny stał — patrzysz — już go niema. Tu znowu skała wielgaśna z ziemi sterczała, łupnie ją taki sakramencki pieron — to się na drobnuskie kamyczki rozmiętało i tyle z niej ostanie. Spojrzysz w niebo — kufer ci na łeb leci... Ino zdążysz głowę odchylić, żeby przypadkiem człowiekowi na nos nie spadł, a tu już kiele ciebie dół wyryło na dziesięć sążni, wszystko dokoła poszarpało, ziemię wywróciło korzeniami do góry... Patrzysz, co to się tak rucha?.. A to biedne krety, niebożątka, gmyrają się w piasku i do kretowin drogi naleść nie mogą.

Taka to ci cholera ten huraganowy ogień. Nie daj Boże!

Całe szczęście, że jeszcze tyła rozumu mi ostało, żeby się na takie nieprzyjemności nie narażać. Jak

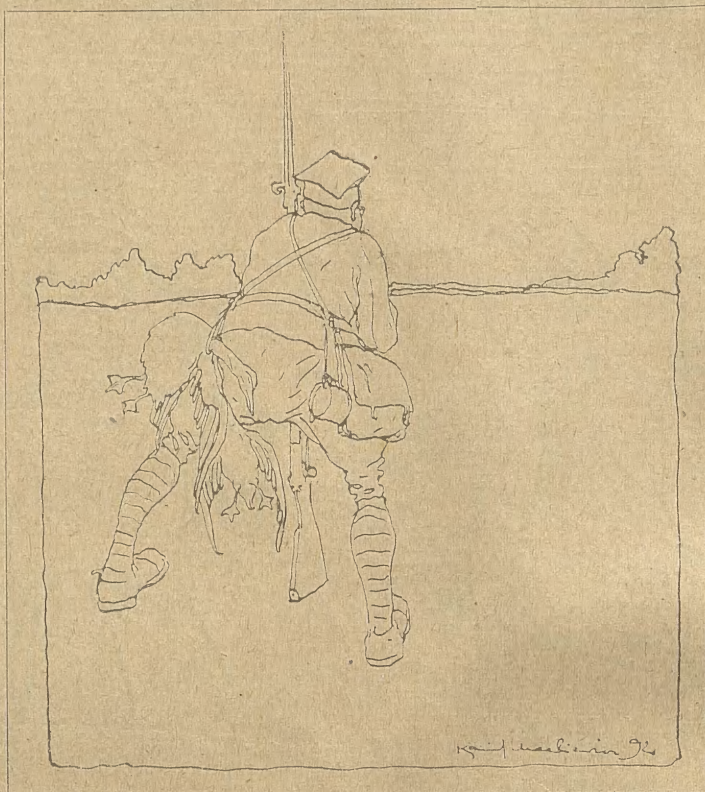
ino miarkuję, że nam te ścierwa z przeciwka taki huragan szykują, to wezmę, ponde se gdzie na bok i z drugiej strony do nich smale. Jakem wczoraj wziął szukać dogodnego miejsca, takem aż za jeich własne bolszewickie placówki załaz. Ide se, a tu me raptem jakiś psubrat zaczepia. Byłby pewno krzywdę zrobił, ino żem mu gębę kulą pokrwa-wił, więc humor stracił, rymnął na ziemię i przestał dyskować.

Szkoda człowieka. Żeby jeszcze chwile popizał, byłbym go pewnikiem do niewoli wzion, a tak nie warto było gudać po piachu ciągać.

Takem się zmartwił, że już nie chciałem darmo do swoich wracać, więcem sobie we wsi choć dwie kaczkuchny na pociechę ustrzelił, żeby kapralowi gębę zatkać, jakby mi co nieprzyjemnie chciał powiedzieć, że to niby on żadnego łazikowania nie preteguje. Taki służbista ze starych legunów to zaw-

dy ma rozmaite zabombony. Ale Bóg z nim. Ja sam mu tego za złe nie mam, bo, prawdę mówiąc, jucha śmiała i własnej skóry nie żałuje. Ino tego mu nie daruję, że nietylko kaczkę wzion, ale nawet nie podziękował; jeszcze kazał i tę drugą oddać, a mnie samego po-dał do raportu.

Taka to teraz wdzięczność na tem świecie.



KASIA I EUROPA.

Kasia aż do samej wojny pędziła żywot spokojny: że nie umiała niczego, zatem była do wszystkiego.

Ignac wystarczał dziewczynie jęgo kochała jedynie; popłakała trochę w sieni, kiedy go moskale „wzięli”, a następnego wieczora poznała w bramie Jegora.

Odtąd kolejno chłop w chłopą kochała Kasię cała Europa i z tej oto właśnie racji zna charakter wszystkich nacji,

a teraz dzieli się z nami takimi aforyzmami.

1) Moskal ci na imieniny kupi „tufli” trzy tuziny; przyhołubi swoją dunię, spije się i w gębę plunie.

2) Szwab ztarguje, pocatuje, pół kufelka zafunduje, a zaś po... tym już bez względu zaprowadzi do urzędu.

3) Francuz, zawsze pełen szyku, gorący głównie w języku: choć gęba pełna słodczy, dobrze swoje franki liczy.

4) Anglik pyta, gdy się czuli, o cenę pończoch, koszuli... Z wielkiego zaś podniecenia mówi o Armji Zbawienia.

5) Brat-czech zagra na gitarze, szklany brylant kupi w darze, gdzieś w kącie popieści troszkę i — ukradnie złotą broszkę.

* * *

Świat poznawszy, Kasia wraca dziś do swojego Ignaca. Lecz powiada dziewczę płocze, że w wojsku zeszczuplał trochę. (h.)

Ż O Ł N I E R S K A N I E D O Ł A.

— Co płacze ta Maciejowa
I co znaczą te lamenty?
— Bieda z Jóźkiem, Panie święty,
Nieszczęśliwa matki głowa!
Kiej w cywilnym żył se stanie,
Chłopak zdrów ci był jak ryba...
Pisze dziś że zamrze chyba
Wciąż choruje, święty Paniel
Oj, we wojsku bieda taka!
Coś ci go na wnętrzu strzyka,

Nie pomaga mu aptyka...
Bieda przyszła, na chłopaka.
Czy w okopach, czyli w leże,
Wciąż w robocie są doktory:
Cięgiem jeno kwęka, chory...
Poco Józiek szedł w żołnierze!
— Ciężką służbę bez wątpienia
Ma, gdy słabość mu się zdarza?
— Dyc jest w pułku za kucharza
I słabuje z przejedzenia.

FRANCESCO.



Oficer: Zuch jesteś, Telefoner. Wszyscy inni rekruci prze-
wrócili się po pierwszym strzale, ty jeden stoisz. Co
chcesz w nagrodę?
Rekrut: Inne spodnie, panie oficer.

N A S U R O W O.

Za straganem Marcinowa
W ręce chuchał
Bo też zima jest morowa.
Mróz psiajuchał
Lecz nie tylko ręce chciały
Tej ciepłości,
Inne członki też zgrabiały
Aż do kości!
A że nie jest w ciemną bita
Marcinowa,

Garnek z żarem węgla chwytą,
pod się chowa.
— Widzi chłopak to szewiecki
od sąsiada,
unoszą jej trochę kiecki
i powiada:
— Poco smażyć, poco prużyć,
Marcinowo?...
Ten specyjał może służyć
Na surowo.

Rufinek.

P O R Y W A J A C E H A S Ł O.

— Ciekawa rzecz, jakim sposobem bolszewicy
zyskują zwolenników? Przecież ich gospodarka...
— Co znaczy gospodarka wobec porywającego
hasła?

— Jakie to hasło?
— Padam panu, wspaniałe!... Hasło, którym
świat podbić mogą: „Towarzysze i towarzyszeki wszyst-
kich krajów, łączcie się!”.



Może do psiedania co, żotnierzu, macie?
Kupię pas, rebulber, nawet stare gacie.



— A kupicie krowę? — pyta Łazik żyda.
— Czemu nie! I krowa także mi się psida.



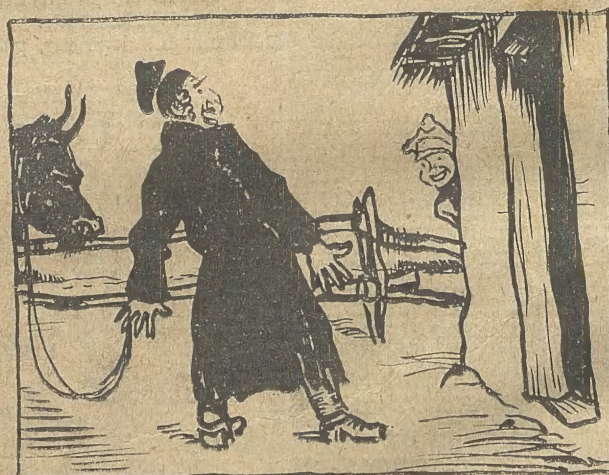
— Dam ci ja namawiać do handlu Łazika!
Wprost do jankielowej obórki pomyka.



Jankielową krowę maluje na czarno
— Oj, chyba cię, żydzie, wciorności ogarną.



Noc. W chałupie świeci łuczywa ogarek.
— Dajcie-no mi krowę, macie tysiąc marek.



Idzie do obory... Tu w krzyk: Aj waj mie!
Tak mnie nie oszukał nikt, jak długo żyję!

W A R S Z A W A

30-G O L I P C A

Redaktor odpowiedzialny: S. Michalski.

Wydawca: Tow. Akc. „ŁAZIK”

Druk S. Michalskiego, Warszawa, Chmielna 60